

## Zmowa mężczyzn

„Hania Lilpop, późniejsza Anna Iwaszkiewicz, zasłużyła na swoją biografię już dawno temu” – czytamy w blurbie na okładce książki Sylwii Góry. Nie sposób nie zgodzić się z tym zdaniem! Dodałbym jeszcze, że zasłużyła na dobrą biografię.

Anna (Hanna) Iwaszkiewicz, z domu Lilpop. „Cielesna, biedna, ironiczna, krucha”. Dzielna. Skriabin i „Sprawiedliwa wśród narodów świata”, Wierzyński i Krzysztof Baczyński, Proust i Liebert. Niepewna i dumna („jedno sobie wymówiłam: nie bywam w ambasadzie sowieckiej”), uwodzicielska i wycofana (Karol Szymanowski i Maria Morska). W futrach (w których bardziej jej było do twarzy niż Nałkowskiej) i w kostiumie kąpielowym w Biarritz. „widzieliśmy ocean w Skagen / i Barcelonę / i Matterhorn i Dent du Midi”. Lecz także – dodajmy – pawilony w Tworkach i warszawskie getto.

Obecna w pamięci zbiorowej – za sprawą swoich przekładów, „Dzienników i wspomnień” (2000), pięciu tomów „Listów” (kolejne w przygotowaniu) ale też zdjęć, relacji, plotek, pamiętników – jak mało kto z kręgu polskiej literatury dwudziestowiecznej. Można przytoczyć dziesiątki, bez przesady, emblematycznych nieledwie scen, przytaczanych i prze-powiadanych w książkach kolejnych autorów, od wjazdu na brwinowski peron kolejki z młodymi skamandrytami,

spieszącymi na ślub Jarosława, po „tę ostatnią niedzielę” na Stawisku w sierpniu 1939. Aż i po te wersy z „Mapy pogody” których, raz przeczytanych, nie da się zapomnieć:

już zaraz  
nic to nie będzie znaczyło

że byliśmy piękni  
że tańczyliśmy na chłopskich weselach  
i na królewskich pokojach  
i nikt nas nie zapyta  
o nasze muchy  
nasze psy  
nasze pogubione książki  
chustki do nosa

i okulary

Tak, oczywiście, została zapamiętana, jest postrzegana także poprzez wiersze pisane przez jednego z największych polskich poetów o niej, do niej, dla niej (czy pisanie o kimś wiersza to już uprzedmiotawiający patriarchyzm, czy jeszcze nie? – zastanawiam się, trapiiony zasianym we mnie przez nową książkę niepokojem). Ale i przez własne zapiski, i przez szkic tak świetny, jak „Hanna i Jarosław Iwaszkiewiczowie. Esej o małżeństwie” Piotra Mitznera (1998).

Czy łatwo pisać o Annie po opublikowaniu eseju Mitznera? Pewnie niełatwo. „Jedynie umysł naiwny lub bezceremonialny mógłby przy obecnym stanie iwaskiewiczowskich badań kusić się o zrekonstruowanie tych dziejów i tej mitologii” – przestrzegał w tymże esej Tomasz Burek. Czy warto? Tak, na pewno. Warto jednak również, przed opublikowaniem książki noszącej podtytuł „biografia Anny Iwaszkiewicz” przyjąć kilka założeń badawczych, ustrzec się kilku błędów. Zwłaszcza jeśli już znalazło się dobry tytuł i samej książki (zapożyczony od Pawła Hertza) i jednego z rozdziałów („Mała niecierpliwa święta” – od Iwaszkiewicza).

Warto, na przykład, w pierwszych zdaniach takiej biografii ustrzec się zarówno kapitulanczej deklaracji „To nie jest klasyczna biografia”, jak minoderyjnego „Anna Iwaszkiewicz nadal jest kobietą pełną tajemnic, których nie potrafię, ale też nie chcę odkryć”. Tym bardziej, że jest przecież Sylwia Górska badaczką dociekliwą, która niejedno odkryć zdołała! Ot, choćby ważki konkret: „Z zapisków Lilpopówny wynika, że [w latach 1915-1918 – ws] bywała we wszystkich najważniejszych teatrach w Kijowie, w których obejrzała sztuki zarówno po polsku, jak po rosyjsku. To dowodzi jej znajomości języków – w tym przypadku rosyjskiego”.

Podobnych konstatacji jest więcej, nowatorskich nie tylko w warstwie faktograficznej, lecz także metodologicznej: co sądzić choćby o zdaniu „O matce nigdy nie chciała opowiadać nikomu z bliskich (choć oczywiście takie listy i notatki mogły się po prostu nie zachować)”. Istotnie, domniemanie istnienia (lub nie) źródeł jest ważnym narzędziem krytyki, podobnie jak wnioskowanie *ex nihilo*: mógł

Stanisław Cichowicz pisać esej o (niezachowanych) wizjach politycznych Kartezjusza, może i Sylwia Góra rozważyć niezachowane listy i notatki.

Znacznie lepiej radzi sobie jednak z notatkami zachowanymi, na przykład z nieformalnym dziennikiem lektur młodej Lilpopówny. „Z tych zapisków wiadomo, że wśród przeczytanych przez nią książek między 1918 a 1922 rokiem znalazły się między innymi (...) „Sonety”, „Parada” i „Teatr w więzieniu” A. Słonimskiego, „Siódma jesień” J. Tuwima, „Oktostychy”, „Dionizje” oraz „Legendy i Demeter” J. Iwaszkiewicza” (...) „Widać więc wyraźnie – konkluduje badaczka – że Anna interesowała się nie tylko polską klasyką, ale i literaturą jej współczesną – czytała Słonimskiego, Tuwima i Iwaszkiewicza, czyli młodych poetów z grupy Skamander, która w Warszawie stawała się coraz popularniejsza”. Nie wykluczam, że ustalenie faktu, iż narzeczona Iwaszkiewicza „czytała Słonimskiego, Tuwima i Iwaszkiewicza” entuzjastyczna krytyka gotowa będzie uznać za jedno z istotniejszych dla filologii polskiej ostatnich lat.

Przy czym, dodajmy już na serio, problemem nie jest tu jedynie prezentowanie jako ustalenia faktów powszechnie znanych – lecz również potrzeba powtórzenia tej samej treści własnymi słowami, tyle, że dziwnie topornie, mechanicznie, jak gdyby jakaś potężna maszyna wbijała nit za nit w jednakowych odstępach. Dobrze to widać przy kolejnym cytacie, tym razem ze wspomnień Romana Jasińskiego. „Była córką kapitalisty, lecz mało znałem młodych kobiet, które tak całkowicie ignorowały świat pieniędzy i bogactw, jak właśnie Hania Lilpopówna” – pisze z wdziękiem bywalec i muzyk. Sześć wersów niżej pojawia się konkluzja autorki biografii: „[Jasiński] wspomina tu

obojętność Anny, jeśli chodzi o finanse. Jako młoda dziewczyna nie musiała martwić się o pieniądze, więc nie powinno dziwić, że ignorowała ten temat”.

Są to oczywiście kwestie możliwe do poprawienia w redakcji, podobnie jak drobne kikszy („rewersowe” określenie lokalizacji jakiejś relacji jako „w Magazynie Rękopisów BN”, podczas, gdy zwykle mówimy tylko o zbiorach rękopisów Biblioteki Narodowej; fraza „Pokazuje list dobitnie **na** [podkr. moje, ws] rolę kobiety na przełomie XIX i XX wieku”; określenie znanego i ważnego ongiś Wydawnictwa Pallotinum, gdzie Anna zamierzała opublikować jeden ze swoich przekładów mianem „Wydawnictwa Pallotynów”) i aż dziw, że nie ustrzegł się od nich edytor tak doświadczony jak Adam Pluszka. Nie wykluczam, że być może to zadanie go przerosło (lub uznał je za drugorzędne) wobec innych wyzwań, z którymi musiał się zmagać.

Najpoważniejszym może z nich jest szczególna przypadłość języka, którym prowadzona jest narracja: jest to język zarazem nieporadny (jakby pochodzący z wypracowania w szkole podstawowej) i chłodny, jakby wyszedł z trzewi kolejnej generacji ChatuGTP: coraz częściej pisze się o takich tekstach, że są „bliskie doskonałości, ale nie dają osobistych spostrzeżeń”.

Zilustruję to kilku zaledwie zdaniem, poczynając od tych urzekająco (pod warunkiem, że nie znalazły się w poważnej biografii) niedojrzałych. „Historia pokazuje, że osoby zakochane, będące pod wpływem intensywnych uczuć, najchętniej wyrażają je właśnie w poezji”. „...dwie kobiety, którym bliskie są sztuka, muzyka, **ogólnie kultura** [podkr. moje, ws]. „«Poemat ekstazy» Aleksandra Skriabina

powstał w 1908 roku i był związany z jego mistycyzmem”. „[Anna] była praktykującą katoliczką, w jej życiu bywały okresy, kiedy chodziła do kościoła praktycznie codziennie” (a teoretycznie? – w.s.). Niektóre te zdania zawierają wręcz niezamierzony ładunek humorystyczny.

„[Anna] najmocniej zdaje się cenić to, co pisze Antoni Słonimski, zwłaszcza do pewnego czasu” – pisze Sylwia Góra, ja zaś natychmiast wspominam na bezlitosnego pana Antoniego, który raczył czytelników „kwiatkami” z zacnego skądinąd wydawnictwa „Polska, jej dzieje i kultura”, kwiatkami w rodzaju „intymność przeżyć jest u Iwaszkiewicza wysoka” lub (to o Tuwimie) „Moment erotyczny występuje u liryka w różnych zabarwieniach”. Nie wykluczam, że zdań takich, jak „zdaje się cenić to, co pisze Antoni Słonimski, zwłaszcza do pewnego czasu” było w manuskrypcie znacznie więcej – i redaktor Pluszka, utrudzony ich decymowaniem, przeoczył po prostu niektóre stylistyczne chabry.

Tym bardziej, że obok nich pojawiają się, jak wspomniałem, zdania nie tyle nieporadne, co takie, od których wieje chłodem. „Przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości religia ściśle wiązała się z katolicyzmem” – tak, to w zasadzie prawda, mogłaby nawet pojawić się w książce „Polska, jej dzieje i kultura”, tyle, że raczej nie w sanacyjnej trylogii nakładem Trzaski, Everta i Michalskiego, co w broszurce, wydanej przez centralę turystyczną w Laosie lub Burkina Faso. „Żywa jest [przed rokiem 1918] myśl narodowa, która zadaje podstawowe pytanie: jak odzyskać niepodległość. Edukacja młodej Hani najpewniej nie była wolna od tych ważnych wówczas wątków” – to kolejne odważne (i prawomocne) przypuszczenie, które być może mogłoby rozszerzyć kompetencje Laotańczyka, dla polskiego czytelnika wydaje się jednak zdaniem tyleż banalnym, co lodowatym.

Pragnę podkreślić: absolutnie nie twierdzę, że to połączenie nieporadności językowej, ostentacyjnego dystansu emocjonalnego i fraz w wysokim stopniu ogólnikowych jest dowodem na sięgnięcie przez Sylwię Górę po AI (z ekranem ewentualnie przybranym kokardami dla zaznaczenia infantylizmu). Nie, taki jest najpewniej styl używany konsekwentnie przez autorkę. Domniemywam natomiast, że na jego kształt mogła wpłynąć ograniczona kompetencja w zakresie takich zagadnień jak dzieje Polski w pierwszej połowie XX wieku czy historia kultury i katolicyzmu w tym czasie: deficyty, których nikomu nie wolno wyrzucać, pod warunkiem, że nie bierze na warsztat biografii Anny Iwaszkiewicz: osoby najgłębiej, jak można sobie wyobrazić, zakorzenionej we współczesnej jej kulturze i wyjątkowo głęboko przeżywającej kwestie wiary. Zlekceważyć takie deficyty, zdecydować się na pisanie, może zdecydować się jedynie, jak się wydaje, „umysł naiwny lub bezceremonialny”.

Śladami tego dystansu były już wspomniane przeze mnie informacje, że Anna władała m.in. językiem rosyjskim (dodajmy – jak każdy praktycznie poddany Romanowów, mieszkaniec zaboru rosyjskiego) czy przypuszczenie, że przed 1918 rokiem mogła spotykać się – we wszystkich bez mała lekturach, w domu, w codziennych rozmowach – z „pytaniem, jak odzyskać niepodległość”.

Na tym jednak nie koniec. Już na pierwszych stronach czytamy o śmierci bohaterki, która miała miejsce 23 grudnia. „Dzień przed Wigilią, tą szczególną datą dla katoliczek i katolików, do których należała Anna Iwaszkiewicz” – pisze Sylwia Góra w zdaniu równie odkrywczym, co umożliwiającym powzięcie pewnego wyobrażenia o planowanych adresatach tej biografii: są to ciekawi kultury i literatury

polskiej ludzie, którym należy objaśnić, że 1) Wigilia jest ważną datą dla chrześcijan 2) obchodzi się ją 24 grudnia, a ponadto 3) cenią sobie parytet („katoliczek i katolików”), nawet, jeśli prowadzi do zbyt dużego wielosłownia.

Dalej jest tylko lepiej. „O jej [Anny] wierze zachowało się zresztą wiele rodzinnych wspomnień”, z których przytoczone zostało jedno „Babcia miała za łazienką swój ołtarzyk”. Dowiadujemy się, że opowiadanie „Matka Joanna od Aniołów” osnute jest „na prawdziwych wydarzeniach z XVII wieku z francuskiego miasteczka Loudun”. Przede wszystkim zaś – uderza konsekwentne rozróżnienie na „dewocyjną religijność” (pacierze klepane przy ołtarzyku za łazienką) oraz „szerzej rozumianą duchowość”, najpełniej rozwinięte przy zestawieniu bohaterki biografii i opowiadania. „Matka Joanna jest postacią nie tyle religijną, ile duchową, podobnie jak Anna, która choć uczęszcza na mszę, obsesyjnie się spowiada i tym podobne, to przy tym często pisze w swoich dziennikach czy listach o dostrzeganiu Boga w muzyce, literaturze, sztuce”. To, że „dostrzeganie Boga w muzyce, literaturze, sztuce” może stanowić składową religijności, nie zaś „abstrakcyjnej duchowości” umyka Sylwii Górze równie dogłębnie jak fakt, że pokazywanie przez Annę gwiazdozbiórów młodemu Wiesławowi Kępińskiemu dalibóg nie oznaczało oznaczania przydawanie im znaczeń duchowych, ani w kluczu XVII-wiecznych resztek astrologii, ani new age’u.

Nie lepiej jest ze zrozumieniem jednego może z najcięższych ale i najbardziej złożonych „supłów” tożsamościowych i politycznych, jakim są relacje polsko-żydowskie w Dwudziestoleciu – z ogromnym spektrum postaw i rodowodów, z uderzającymi niekonsekwencjami w zachowaniach, z galwanizującym wstrząsem, jakim dla pokaźnej części inteligencji okazała się perspektywa Zagłady. Ilu rzeczy trzeba nie

wiedzieć i nie znać, począwszy od dorobku Skamandrytów, po dzieje Żegoty, żeby napisać tych kilka zdań, które cytuję poniżej – niemal bez komentarza, bo ten rozsądziłby ramy recenzji.

„Wśród skamandrytów, do których należał jej mąż – pisze Sylwia Góra o Annie - było przecież dwóch poetów żydowskiego pochodzenia – Antoni Słonimski i Julian Tuwim. Z tym pierwszym łączyła ją bliska więź. A jednak w latach 20. i 30., jak wielu Polaków, poddała się manipulacji i stereotypizowaniu Żydów”.

Zjadliwości Słonimskiego pod adresem obdarzonego sporą dozą hucpy plastyka z 1924 roku opatruje uwagą: „Trudno nawet skomentować ten tekst pisany przecież przez poetę o żydowskim pochodzeniu. Wygląda na to, że on także uległ wpływowi polskiej prasy międzywojennej”.

Wreszcie – czas Zagłady: „Anna w czasie wojny podjęła wiele heroicznych decyzji. Zawsze jednak uważała je za swój obowiązek, za coś naturalnego, co wyraźnie przeczy temu, że była antysemitką z przekonania”.

Nie wiem doprawdy, która ze scen nakreślonych przez autorkę biografii bardziej bawi mnie (choć i trwożą): wizja Antoniego Słonimskiego, który uległ wpływowi „Gazety Warszawskiej” czy przekonanie, że skoro ktoś w czasie wojny dokonywał heroicznych czynów związanych z ukrywaniem Żydów, to na pewno nie był (cokolwiek by to miało znaczyć) antysemitą.

Czasem ta niekompetencja w kwestii historii i kultury II RP jest widoczna na pierwszy rzut oka, czasem bywa tuszowana. Szczególne wrażenie zrobiły na mnie uwagi Sylwii Góry dotyczące czasopisma „Droga”. Cytując zdanie z dziennika Anny pokazujące, że dokonane przez nią przekłady z Prousta zostały na tych łamach przyjęte życzliwie („Horzyca twierdzi, że te dwa kawałki, które dałam do «Drogi», są bardzo dobre”) autorka biografii postanawia opatrzyć ten cytat z dziennika z 1929 roku własnym komentarzem. Najpierw pada zdanie pełne wyrzutu („Jak bardzo Anna nie wierzy w siebie, w swój talent pisarski, swoje zdolności i miłość do literatury, że nie chce przyjąć pochwały od Wilama Horzycy, który wówczas jest redaktorem «Drogi»”). Następnie zaś – objaśnienie: „W tym tytule publikowali między innymi Juliusz Kleiner, Stefan Kołaczkowski, Jerzy Liebert, Adam Ważyk czy Józef Wittlin”.

Dosyć postna to informacja o jednym z ciekawszych czasopism II RP, skąpiąca czytelnikowi zarówno wiedzy o osobie charyzmatycznego założyciela tytułu i najważniejszego z jego redaktorów, Adama Skwarczyńskiego, jak o profilu „Drogi”, wahającej się między krytyką społeczną, „staroświeckim liberalizmem” a poparciem wczesnej sanacji w jej intencjach budowy silnego państwa. Ale *passons*, najbardziej rozbawiła mnie wyżej przytoczona przez Sylwię Górę sekwencja nazwisk autorów współpracujących z „Drogą”, które wydały mi się dość nieswoiste dla tego tytułu. Czemu akurat Kleiner i Wittlin, a obok nich, mało z „Drogą” kojarzeni, Liebert i Ważyk?

Klucz – być może – kryje się w cennej protezie, jaką bywa Wikipedia. Z zamieszczonej tam noty o „Drodze” dowiadujemy się, że na łamach czasopisma publikowali – cytuję bez skrótów: „m.in. krytycy i pisarze

(Kazimierz Wyka, Ludwik Fryde, Juliusz Kleiner, Stefan Kołaczkowski, Konstanty Ildefons Gałczyński, Jerzy Liebert, Teodor Parnicki, Marian Piechal, Władysław Sebyła, Adam Ważyk, Józef Wittlin)”.

Spośród blisko 130 nazwisk autorów „Drogi” wybrać akurat tych, nieswoistych dla tytułu, pięciu (Kleiner, Kołaczkowski, Liebert, Ważyk i Wittlin) którzy wymienieni zostali, razem z sześcioma innymi, w notce Wikipedii?! Nie trzeba geniusza statystyki w rodzaju dra Tomasza Kontka by zauważyć, że prawdopodobieństwo jest mniej więcej o trzy rzędy wielkości niższe od szansy na szóstkę w Lotto. Trop zapożyczenia wydaje się zatem dość przejrzysty i nie jest nawet – zwłaszcza w sytuacji, gdy autorce przyszło pisać o nielubianej przez nią i mało jej znanej epoce patriarchalnego „międzywojnia” – szczególnie kompromitujący. Oczywiście, pod warunkiem, że uhonoruje się przypisem trud wikipedysty.

Wszystkie te uchybienia jednak, nad którymi nie potrafię przejść do porządku dziennego, okazują się drugorzędne wobec faktu podstawowego: „W stronę Anny” jest książką napisaną, jak mawiało się za koszmarnych czasów Orzeszkowej, Z TEZĄ. Nie wykluczam zresztą, że fakt ten może się istotnie przyczynić do entuzjastycznego jej przyjęcia przez krytykę; nie kryją go przynajmniej trzy cytowane na wyklejce laudatorki (Ludwika Włodek, Anna Król i Katarzyna Wężyk).

Teza ta pojawia się już w dedykacji („Wszystkim kobietom, które pozostają w cieniu”), i, jak się wydaje, nie wymaga nawet rozwinięcia. Sformułowanie „w cieniu” jest bodaj najczęściej pojawiającym się w książce: „To jej mąż, Jarosław Iwaszkiewicz, był w ich domu twórcą. Ona pozostawała w cieniu”. „Publikacji o Iwaszkiewiczzu jest ogrom. Anna

nawet po śmierci pozostaje w cieniu”. „Wciąż się chowa w cieniu”. Naliczyłem tych cieni około trzech tuzinów; niektóre mogłem w papierowym wydaniu przeoczyć.

Czemu w cieniu? No, wiadomo przecież. „Brak dostępu kobiet choćby do publicznego szkolnictwa wyższego powodował, że nie mogły one «przebić się» ze swoją twórczością do szerszej publiczności”. Do tego zaś wzorce społeczne („Bo obowiązkiem żony jest trwać przy mężu. Na takiej zasadzie opiera się patriarchalne społeczeństwo”; „[po ślubie z Jarosławem] pojawi się kolejne społeczne oczekiwanie, o którym mówi: macierzyństwo”) i wizja kolejnych tabu, opisywanych z rozmachem, który nie pozwala traktować całej tezy poważnie („Lata międzywojenne **czy powojenne** [podkr. ws] to czas, kiedy w ogóle o kwestiach zdrowia psychicznego nie mówiono”. W ogóle? Bychowiec też nie miał swojej rubryki w „Wiadomościach Literackich”? I żadnej różnicy między dwoma epokami w tej kwestii też nie było?). No i, oczywiście, wzorce literackie.

Te literackie są dwa. Jeden całościowy: klasycy. „Hania Lilpop buduje swoje podstawy intelektualne na znanych – i nieraz uważanych już za klasyczne – lekturach Słowackiego, Mickiewicza, Wyspiańskiego, Żeromskiego, Conrada, Prousta, Wilde’a, Bergsona, Nietschego, Hugo, Balzaca i pewnie wielu innych męskich opowieściach, w których kobieta zazwyczaj pozostaje muzą geniusza. Nic dziwnego, że taki sam model uzna za zasadny we własnym życiu”. Czyli winni Mickiewicz, Hugo, a nawet Proust, bo tworzyli „męskie opowieści, w których kobieta zazwyczaj pozostaje muzą geniusza”, i Hania się, jak to dawniej mawiano, „zasugestionowała”. Dobrze, że nie zasugestionowały się współczesne jej Dąbrowska, Pawlikowska czy Ginczanka, podobnie zresztą jak Tokarczuk czy Góra, które też przecież czytały Słowackiego.

Jest jednak i bardziej konkretny winowajca. „Wśród książek [czytanych przez Hanię] znalazła się «Płeć i charakter» Ottona Weininger, na którą warto zwrócić szczególną uwagę” – pisze Góra, po czym następuje streszczenie mizoginicznego traktaciku i wniosek: „To istotna lektura, można bowiem przypuszczać, że właśnie u Weininger, Anna przeczytała po raz pierwszy o niższości intelektualnej, duchowej i moralnej kobiet”. Co prawda wiedeński frustrat zatruwał miazmatami dusze już od dwóch dekad, zaś na polski przełożony został już przez Ortwina już w 1911 – no, ale padło na Annę.

Czemu dworuję z tej prostej tezy, że Annę wepchnęli w cień działający w zмовie Słowacki, Weininger i patriarchy? Czy u progu XX wieku kobiety miały dostęp do szkolnictwa wyższego? Nie miały. Czy utrudniało im to zarówno tworzenie, jak docieranie do publiczności? Utrudniało, podobnie jak wzorce osobowe i idealne role społeczne, skonstruowane przez ówczesną cywilizację.

Wszystko to prawda, nie dziw też, że przywołuje te fakty pisarka która, jak Sylwia Góra, pisywała i o Marinie Abramović, i o Katarzynie Kobro, i o mizoginii, i o kobietach bezdomnych, łącząc to z organizowaniem struktur Kongresu Kobiet. Dwie jednak rzeczy wydają mi się w jej wywodzie dyskusyjne.

Pierwsza to – wiem, niezbywalny w pisarstwie inspirowanym teorią krytyczną – ton ahistorycznej pretensji: do struktur, do patriarchy, do XIX-wiecznych autorów i do Iwaszkiewicza *personaliter*, ton chwilami tylko przechodzący w dość ckliwy lament („[Anna] nigdy nie uważała

się za pisarkę, ale właśnie jej język pokazuje naprawdę, że pisarką była. Naprawdę szkoda, że nikt nie zachęcił jej bardziej do tego, żeby spróbowała swoich literackich sił”).

Druga – to arbitralne przekonanie, że „[Anna] nigdy nie uważała się za pisarkę, ale właśnie jej język pokazuje naprawdę, że pisarką była” – i że jedynie ciśnienie struktur patriarchy, pycha męża, rzucony przezeń cień sprawiły, że nie stała się autorką powszechnie uznaną, równą największym („Sama [Anna] od najmłodszych lat czuje potrzebę twórczości, choć w przeciwieństwie do francuskiego pisarza [Prousta] nigdy w pełni nie zdecydowała się na własną”).

Wydawałoby się, że nawet gniewne wyznawczynie teorii krytycznej zdają sobie sprawę, że to, czy ktoś o predyspozycjach literackich, słuchu językowym, pragnieniu pisania sięgnie ostatecznie po pióro, czy nie – jest rzeczą niemożliwą do przewidzenia. Że zarzut, iż „blokada” Anny spowodowana była czynnikami kulturowo-społecznymi jest równie niefalsyfikowalny, co absurdalny (naprawdę, nie muszę po raz wtóry wyliczać dziesiątków współczesnych jej pisarek, by ukazać skalę tego absurdu). Że granica między pisaniem a nie-pisaniem jest w ostatecznym rachunku wypadkową tylu czynników, tylu zmiennych usposobienia, sytuacji życiowej, kryzysów, psychodynamiki, że pozostaje – by przytoczyć inne ulubione słowo autorki – tajemnicą. Szczególnie może w przypadku osoby tak delikatnej, tak wymykającej się naszemu rozumieniu i opisom, jak Anna.

A jednak. Na finał dostajemy mocne oskarżenie w dość szczególnym stylu. Najpierw pojawia przejmujący cytat z Iwaszkiewicza, piszącego o wyprowadzaniu Anny z głębi choroby psychicznej. „To wielomiesięczne

wyciąganie jej za rękę z potwornej przepaści, gdzie samo przebywanie z nią w jednym pokoju było męką, to wyprowadzanie Eurydyki z piekieł i jej bezustanne oglądanie się, lubowanie się jej w przestrzeni szaleństwa – to wydaje mi się koszmarnym snem”.

O tym heroicznym, może najbardziej heroicznym w całym życiu Jarosława czasie, autorka ma do powiedzenia tyle:

„Ten okres w życiu Anny znamy głównie z przekazu Jarosława. A jak było naprawdę? Dlaczego ona zarzuca mu, że nie zaopiekował się nią w okresie choroby? Skąd ten jej wielki żal związany z leczeniem w Tworkach? Jaka mogłaby być opowieść Anny, gdybyśmy ją poznali? Wydaje się, że zupełnie inna, niż jej męża”.

Te pytania, stawiane retorycznie, bez żadnych szans na uzyskanie na nie sensownej odpowiedzi, wyłącznie z intencją de-heroizacji Iwaszkiewicza, kojarzą mi się tylko z jednym – z frazą „Ja tylko pytam”, która padła dwadzieścia kilka lat temu w Sejmie.

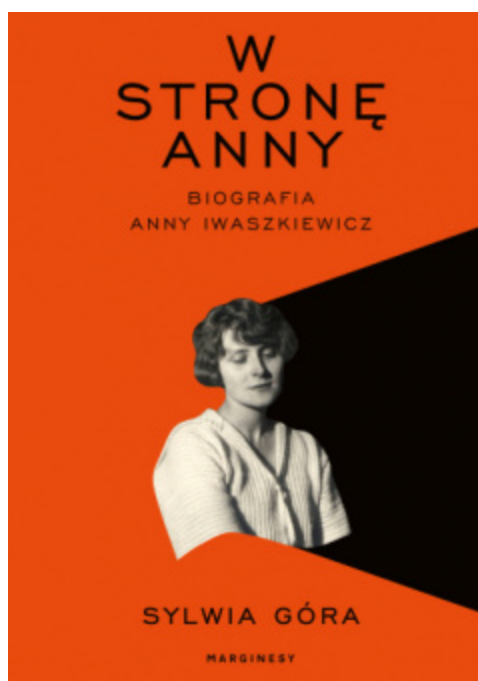
I żeby nie zostawić czytelników z tym wyrazem bezinteresownej, pasją motywowanej niechęci jako ostatnim słowem, przytoczę patriarchalną, a nawet głęboko patriarchalną anegdotę – zawierającą więcej może miłości niż trzystustronicowa biografia w twardych okładkach:

Lata 60. Jubileusz w Teatrze Polskim, Jarosław w pierwszym rzędzie. Siedząca kilka miejsc dalej Nina Andrycz kilkakrotnie strofuje teatralnym szeptem: „Jarosław, skarpetki!”. Ten początkowo nie reaguje, w końcu replikuje:

- No to co?
- Widać ci białe skarpetki!
- Bo ja jeżdżę kolejką, a w kolejce zimno. Hania zrobiła mi skarpetki, to je mam!

Choć, skoro mowa o skarpetkach, można przywołać inny jeszcze cytat, z bardzo lubianego przez oboje – Annę i Jarosława – poety, posiadający, gdy idzie o autorki związane z teorią krytyczną, potencjał wielu kiloton:

Imiona ich nie będą pamiętane.  
Cerowaczki wydartych swetrów, opiekunki  
Skarpetek i kalesonów, ochmistrzynie  
Kuchni smacznej a lekkiej, miłej jego zdrowiu,  
Prasowaczki koszul na jego wieczorny występ,  
Polubienice, nałożnice, kochanki,  
Pokuśnice, gospodynie, żony,  
Umiejące cierpliwie znosić wielkie idee,  
Plany zmieniania świata, wiarę w genialność,  
Nosicielki sekretu, o którym on nie wie,  
Uśmiechają się, zaparzają herbatę,  
Idą do okna, podlewają kwiaty.



Sylwia Góra, „W stronę Anny. Biografia Anny Iwaszkiewicz”, Marginesy, 2025

\*\*\*

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---